№ 23

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 20 MARCA — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1837.

DZIESIĘCIO - MINUTNE KAZANIE.

(Z francuzkiego, P. H. Berthoud.)

(Dokończenie.)

Stary ksiądz, który tamtędy spiesznie przechodził, idąc do kościoła Śgo Sulpicyjuszu, zatrzymał się, uderzony boleścią i nędzą młodej tej kobiety, w której, pomimo jej biednej odzieży, widać było osobę dobrego urodzenia. Gdy odeszła, zaczął o nię wypytywać starej przekupki. Ta mu wszystko opowiedziała. Ksiądz słuchał jej w milczeniu, a potem, namyśliwszy się nieco, wszedł na wschody i zatrzymał się u odemkniętych drzwi Ludwiki. Zapukawszy z cicha, wszedł do pokoju i zatrzymał się u łoża chorego, na którym widok księdza katolickiego nieprzyjemne zrobił wrażenie, gdyż zdawał mu się zapowiadać zgon blizki.

— Czego Pan chcesz ode mnie, — zapytał nieco porywczo, — ja jestem protestant.

— Jako człowiek, jesteś mym bratem, — odpowiedział ksiądz łagodnie. — Powiedziano mi na dole, że cię od trzech dni Doktor nie odwiedzał; mam trochę doktorskich wiadomości i ofiaruję ci moje usługi, wszystko jedno, czy od katolika, czy od lutra: byleby pomogły.

Chory, zawstydzony swą porywczością, podał księdzu rękę.

— Stan twój nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, — rzekł starzec, wypytawszy się chorego o jego cierpieniach, — nic ci nie pozostaje prócz wielkiego osłabienia, na które lekki i zdrowy pokarm jest niezbędnem lekarstwem.

I zaczął się rozwodzić nad sposobem zachowania się, jak gdyby był u ludzi dostatnich, a nie w przybytku nędzy, gdzie łóżko chorego jedynym było sprzętem.

— Teraz trzeba, żebyś mi nie odmówił pewnej przysługi. Potrzebujemy obrazu do naszego klasztoru; jeżeli ci nie będzie przykro malować dla katolickiej kaplicy, mógłbyś się podjąć tej roboty, za którą otrzymasz pięćset talarów. Oto masz dwieście franków w złocie tymczasowie, jutro przyniosę ci resztę umówionej summy. Jeżeli Pani potrzebujesz, — rzekł, obracając się do Ludwiki, — jakiej kobiety, któraby jej dopomagała doglądać obu jej chorych, mogę zalecić żwawą i pracowitą kobietę, o dwa kroki ztąd mieszkającą. Przyszlę ją nawet zaraz, idąc do kościoła Śgo Sulpicyjusza. Żegnam Panią i odchodzę, gdyż już minęła godzina, o której miałem zacząć kazanie, a boję się opuścić.

To mówiąc, znikł, nie zostawiwszy im czasu na wyrażenie mu wdzięczności. W kwadrans potem przybyła przysłana przez księdza służąca, i tak się zaraz wzięła do roboty, że chory, położony na czyste i świeże prześcieradło, zasnął spokojnie, nieco się posiliwszy.

Karolek także uspokoił się i zadrzemał na ręku

nowo przybyłej, a Ludwika, odzyskawszy nadzieję, wraz z nią odzyskała siłę i odwagę.

III.

Tymczasem tłum ludzi, zebrany w kościele Śgo Sulpicyjusza, z niecierpliwością oczekiwał ukazania się na ambonie zapowiedzianego kaznodziei. Sądząc po natłoku słuchaczy, musiał on być w wielkiej wziętości: gdyż nie tylko gorliwi katolicy zapełniali przybytek kościelny, lecz i znani światowi ludzie, których zapewne tam bardziej ciekawość niż pobożność przywiodła. Okryte herbami pojazdy utrudniały przystęp do kościoła; lokaje w sutej liberyi stali gromadnie na wschodach, tak, że ksiądz, co przed chwilą nawiedził malarza Boucher, z trudnością mógł się wpośród nich przecisnąć. Dostał się nakoniec do ambony, oblany potem i zadyszany. Szmer rozszedł się po kościele, szmer wydający się jakby wymówką dla księdza, który się opóźnił i przez to okazał nieuszanowanie oczekującej go publiczności.

Lecz ksiądz, nie zważając na to, rękawem otarł pot z czoła, postąpił na brzeg ambony, poruszeniem ręki nakazał milczenie i zwolna wyrzekł te słowa psalmisty:

»*Esurientes implevit bonis et divites dimisit inanes.*«

»Łaknące osypał dobrodziejstwy, a bogacze odpuścił z próżnemi rękami.«

Zaczął potem sławne owo kazanie, dochowane nam przez księdza Maury, i słusznie uważane za przykład najmocniejszej wymowy we francuzkim języku.

»W obliczu zgromadzenia tak dla mnie nowego, zdaje się, bracia moi, że powinienbym na to tylko otworzyć usta, abym was prosił o pobłażanie dla biednego misyjonarza, nie posiadającego zdolności, jakich wymagacie po tym, który wam ma mówić o waszem zbawieniu. Jednakże wcale inne zajmuje mię dziś uczucie; jeżeli się czuję upokorzonym, nie sądźcie, żebym się unizał do błahych obaw próżności, jak gdybym był przyzwyczajony prawić kazanie samemu sobie. Boże uchowaj, aby sługa Twój sądził za potrzebne usprawiedliwiać się przed wami; gdyż, czemkolwiek dziś jesteście, na sądzie ostatecznym będziecie tylko takimi, jak ja grzesznikami. Tak więc przed waszym tylko i moim Bogiem czuję w tej chwili potrzebę uderzyć się w piersi. Dotąd kazałem o sprawiedliwoś i Najwyższego w przybytkach pokrytych słomą, przepisywałem pokutę nieszczęśliwym, którym po większej części zbywało na chlebie, dobrym wiejskim mieszkańcom stawiłem najstraszniejsze prawdy naszej religii. Cóżem robił nieszczęsny! Zasmucałem biednych, ulubieńców mego Pana; dusze proste i wierne, nad któremi powinienbym się był litować i pocieszać, napawałem trwogą i boleścią. Tu, tu, gdzie wzrok mój widzi tylko możnych, bogaczów, uciemiężycieli cierpiącej ludzkości, zatwardziałych i śmiałych grzeszników, tu właśnie, wpośrod tylu zgorszeń, trzeba mi było rozgłaszać Słowo święte w całej jego surowości i postawić obok siebie na ambonie z jednej strony śmierć, która wam wszystkim zagraża, a z drugiej Stwórcę Przedwiecznego, który was sądzić będzie. Drżyjcie więc przede mną, o wy, dumni i pogardzający słuchacze! Niewdzięczne nadużycie wszelkiego rodzaju łask, potrzeba zbawienia, pewność śmierci, niepewność tej tak straszliwej dla wszystkich godziny, kamienna zatwardziałość w grzechu, sąd ostateczny, mała liczba wybranych, piekło, a nade wszystko wieczność, wieczność.... oto jest, co powinno stanowić tekst mego kazania i com powinien był dla was tylko zachować. I na cóż mi wasze poklaski, któreby mię może potępiły, was nie zbawiając? Pan Bóg was skruszy, podczas kiedy niegodny jego służebnik będzie do was przemawiał, gdyż długiem doświadczeniem znam jego miłosierdzie. On to, on sam, za kilka chwil poruszy wasze sumienia. Rażeni przestrachem, zdjęci zgrozą za wasze przeszłe zdrożności, rzucicie się w objęcia mojej miłości, wylewając łzy żalu i boleści, i dręczeni zgryzotą, znajdziecie mię dość wymownym.«

Nic nie zdoła opisać głębokiego wrażenia, jakie słowa księdza Bridaine sprawiły na tłumie słuchaczów, niedawno jeszcze tak mu nieżyczliwych, a teraz słuchających go w cichości i w pobożnem zachwyceniu. Po kilkochwilowej przerwie, dodał:

»Lecz może powiecie sobie, że to chleba Słowa Pańskiego z taką oczekujecie niecierpliwością! Pocóż było wystawiać naszą skwapliwość na próbę?

»Owóż Pan Bóg postawił na mej drodze całą rodzinę, oczekującą chleba miłosierdzia. Było-to dziecię umierające z nędzy, u łoża kopającego ojca; była-to matka tak nieszczęśliwa, że zaczęła wątpić o Boskiej Opatrzności.«

»I mnie, kapłanowi Jezusa Chrystusa, trzeba było odwrócić się od tylu cierpień i nie nakarmić łaknących i nie pocieszyć strapionych, jedynie przez nędzne światowe uszanowanie, i zapomnieć mych świętych obowiązków dla dogodzenia waszej dumie i niecierpliwości? Padnijcie na kolana i błagajcie Przedwiecznego o przebaczenie, albo raczej bogacze winowajcy, bogacze, których może Pan w dzień sądu ostatecznego w słusznym swym gniewie odepchnie od stołu Zbawienia, spuśćcie na Łazarza okruszyny nazt waszych, ażeby się za wami choć jeden głos odezwał, kiedy trąba Anioła mściciela roznieśie po przestrzeni świata ten odgłos straszliwy, który rozbudzi martwych, a duszę winowajców trwogą ogarnie. Sąd ostateczny! Sąd ostateczny!

»I któryż z was ośmieli się spojrzeć na Boga Ojca i na Syna siedzącego po jego prawicy? Któryż z was odpowie, kiedy głos nieubłagany zapyta: »Gdzież to dobro, coście zrobili?« Wówczas jęki, którycheście nie ukoili, kiedy na to trzeba było tylko nadmiarn waszych dostatków, rozlegną się wokoło was i będą wołały: »potępienie, potępienie!« Krzyki te będą was ścigać do piekła, gdzie jęczy niegodziwy bogacz, i będą waszem wiecznem udręczeniem.

»Śpieszcie więc zbawić swe dusze, póki jeszcze czas po temu, przygotujcie sobie orędowników w dzień zemsty i gniewu, jeden tylko macie sposób do przebłagania Sędziego, który będzie trzymał los wasz w swych ręku, a tym sposobem jest miłosierdzie i politowanie.

»Cóż mi więcej pozostaje dodać!

»Na cóż mam wam zwiastować przykazanie Boga, którego litości będziecie wzywali, kiedy jej sami nie macie? Bądźcie więc miłosierni, gdyż miłosierdzie tylko może was zbawić.... Lecz spieszcie się: gdyż wam może nie pozostaje i tych czterdziestu dni, które Prorok zostawił Niniwie. Może jutro, może dziś, może w tej chwili owionie was powiew śmierci. Może wam nie pozostaje i jednej sekundy między dobrą myślą a śmiercią, między zbawieniem a piekłem, między tem krótko-trwałem życiem a wiecznością!«

To mówiąc kaznodzieja padł na kolana na ambonie, zakrył sobie twarz rękoma, i został pogrążony w rozpamiętywaniu straszliwych słów, które wyrzekł.

Gdy powstał, ujrzał się otoczonym mnóstwem osób przynoszących mu garściami złoto; kobiety pozdejmowały swe kosztowne ozdoby i rzucały je u nóg kaznodziei, inne zbierały w kościele jałmużnę. W kilka minut zebrało się przeszło pięćdziesiąt tysięcy franków na ambonie kaznodziei. Ten cały pobożny datek powierzył Księżom Śgo Sulpicyjusza, wziął tylko tysiąc talarów dla malarza Boucher i kroki swe skierował ku jego mieszkaniu. Lecz nagle inna przyszła mu myśl, zmienił drogę i pieszo udał się do Wersalu.

IV.

W ludziach zajętych ważnemi pracami i których życie jest dążeniem do wielkiego jakiego celu, zdarza się widzieć pewne dziecińkażdy, dziwnie odbijające od poważnego ich charakteru; lecz głębiej się zastanawiając, łatwo pojmujemy, że ludzie ci, zajęci jedną myślą, opanowani swoją monomaniją, nie mieli czasu zniechęcić się do rozrywek, któremi ogół pogardza. Richelieu skakał na jednej nodze w swoim gabinecie, Newton lubił wieczorem stukać do drzwi, żeby się uśmiać z gniewu odźwiernych, a w Pathmos, S. Jan, ulubiony uczeń Chrystusa Pana, za najmilszą miał rozrywkę ułaskawiać kuropatwy.

Ojciec Bridaine nieskończenie lubił ukrywać w tajemnicy swoje zamiary względem uszczęśliwienia Franciszka i Ludwiki. Nie tylko ich nie uprzedził, ale nawet przed niemi utaił postanowienie swe zapewnienia nadal ich losu, i dla tego nazajutrz z rana poprzestał tylko na odniesieniu im reszty summy obiecanej za obraz. Znajdując upodobanie w tym niewinnym podstępie, podał przedmiot obrazu, opisał wielkość i naznaczył termin, na który powinien być gotów. Boucher podnosił wesoło bladą i schorzałą głowę, na samą myśl, że znowu się weźmie do pędzla; mały Karolek uśmiechał się do matki, a na twarzy Ludwiki, po spędzonej spokojnie nocy, widać było wewnętrzne ukontentowanie

Nieco złota odegnało rozpacz i chorobę i już niknęły ślady nędzy w mieszkaniu, które na nowo przybierało pozór chędogiej czystości. Ojciec Bridaine z radością widział tak spieszną przemianę i bardziej się jeszcze przez to utwierdził w swych tajemniczych zamiarach.

W przeciągu tygodnia Franciszek mógł się już przechadzać po pokoju i zbliżyć się do okna dla odetchnienia świeżem powietrzem. Dziecię już po kilku dniach odzyskało dawne siły i wesołość: w tym wieku tak łatwo przechodzi się od zdrowia do zgonu, a od zgonu do zdrowia. Wówczas to ojciec Bridaine umyślił doprowadzić do skutku zamiary, które od tygodnia tak troskliwie ukrywał.

— Już teraz, — rzekł on do Franciszka, — możesz się bez obawy przejechać w pojeździe; zawiozę cię do jednego z mych przyjaciół, który mieszka w Wersalu i który, pewny jestem, mile nas przyjmie. Jeżeli ten mój zamiar ci się podoba, jutro rano najmę karetę i zajadę po ciebie. A cóż czy zgoda?

— Ach jakże to miły będzie spacer! — zawołała Ludwika.

— Powietrze wiejskie zupełnie mnie uleczy, — dodał Franciszek.

— Do zobaczenia: więc jutro, o ósmej z rana, żebyśmy uniknęli południowego skwaru.

— O umówionej godzinie będziemy gotowi, mój ojcse. — Ludwika dotrzymała słowa; o w pół do ósmej ubrana w ładną sukienkę, którą sama wczoraj skończyła, trzymała na ręku małego Karolka, ubranego w bieli i wyciągającego rączki do księdza, skoro ten się ku niemu nachylił.

Wsiedli do karety, pojechali, i, we cztery godziny przybywszy do Wersalu, zatrzymali się przed małym domkiem, należącym do zamku. Wznosił się się on w ładnym ogrodzie, zasadzonym drzewami, pomiędzy któremi przepływał mały strumyczek.

— Ach Boże, jakież to zachwycające mieszkanie, — zawołała Ludwika.

— Do kogoż należy ten dom, ojcze, — zapytał Boucher?

— Do Króla.

— A któż w nim mieszka?

— Nadworny malarz królewski.

— Jak się on nazywa?

Kwiaty krzewu, któremu się przypatrywał ojciec Bridaine, tak dalece go zajęły, że nie słyszał tego ostatniego zapytania, a przynajmniej nic nie odpowiedział.

Przebiegłszy pokilkakrotnie ogród, weszli do pokojów. W ładnym jadalnym saloniku znaleźli nakryty stół, a nim podano obiad, odpoczęli wygodnie, choćiaż skromnie umeblowanym gabinecie.

— Proszę Pani, już podano do stołu, — rzekła wchodząc wkrótce potem młoda służąca.

— Pani, — powtórzyli z zadziwieniem Franciszek i Ludwika, którzy niczego się nie domyślając, w koło siebie szukali gospodyni domu. Zacny ksiądz, zaczerwieniały i kontent jak dziecko, które wypłata figla, śmiał się serdecznie, zacierał ręce i stał obrócony do okna, przez które nibyto patrzał.

Ludwika i jej mąż zaczęli się domyślać prawdy, lecz obawiając się przypuszczać tak wielkie szczęście, byli jakby w miłem omamieniu błogiego snu.

Ojciec Bridaine odszedł nakoniec od okna i wyciągnął zpod sutany pargamin z królewską pieczęcią.

— Jeźli nie znacie jeszcze właściciela tego mieszkania, poznacie przynajmniej malarza królewskiego, tylko co mianowanego i nazywającego się.... Przeczytajcie lepiej sami.

— Franciszek Boucher, — zawołała Ludwika.

— Ja!

— O mój ojcze, mój ojcze, jesteście naszym opiekuńczym aniołem!

— Jestem tylko narzędziem, użytem przez Najwyższego na ukończenie cierpień, przez jakeście dotąd przechodzili. Bogu tylko cześć i wdzięczność, moje dzieci. Twój talent już był znany u dworu i miejsce to tobie się należało, oddano ci sprawiedliwość, gdyż nie byłbym żądał nic niesprawiedliwego, nawet dla zrobienia cię szczęśliwym.

— O jakże ci wyrazić ojcze wszystkie me nczucia....

— Oto siądźmy do stołu, nie mówiąc już o mnie, tylko o waszem szczęściu.

Siedli do obiadu i wesołe spełniali toasty, za zdrowie Ojca Bridaine.

Po obiedzie ksiądz wziął swój kij, zabierając się do wyjścia.

— Niedługo nas odwiedzisz? — zapytała Ludwika, podając mu dziecko do pocałowania.

— Niedługo, — powtórzył smutnym głosem, — niedługo.... Jutro wyjeżdżam do Flandryi, gdzie się wybieram z misyją pokoju i wiary, gdyż my, starzy misyjonarze, rzadko kiedy mamy chwilę odpoczynku. Musimy ciągle postępować w naszej apostolskiej pielgrzymce, dopóki się na zawsze nie zatrzymamy.

— A jakaż nagroda za tyle poświęceń i tyle dobrych uczynków? — zapytał Boucher.

Ojciec Bridaine wzniósł oczy w niebo i wyszedł.

Ludwika mimowolnie padła na kolana i patrzała za nim, dopóki go tylko mogła dostrzedz, gdyż ona pojęła nagrodę tego świętego człowieka. Tą nagrodę będzie niebo!
